

O nierównościach społecznych i rasizmie

Nierówności społeczne są jedną z najlepiej udokumentowanych przyczyn niechętnych postaw wobec mniejszości i jednocześnie – najczęściej ignorowanym.

BARBARA NOWACKA

Para szwedzkich naukowców Niclas Berggren i Therese Nilsson swego czasu postanowiła zbadać korelację między liberalizmem gospodarczym a rasistowskimi uprzedzeniami. Z badań opublikowanych w międzynarodowym magazynie naukowym „Kyklos” wynika, że na proste pytanie – czy chciałbyś mieć za sąsiada przedstawiciela innej rasy? – pozytywnej odpowiedzi wśród Europejczyków najczęściej udzielali Białorusini. Równie często albo nawet częściej niż ludność dawnych brytyjskich kolonii Stanów Zjednoczonych, Australii i Nowej Zelandii. Dobry wynik tych ostatnich oczywiście nie dziwi. Potwierdzał, że konsekwentna polityka państw przeciwko rasowym uprzedzeniom, programy edukacyjne i tradycje wielokulturowości robią swoje. Ale skąd ta Białoruś? Zamknięta na obcych, z ograniczaną wolnością słowa, o niskim poziomie życia. Jednocześnie jest to jednak kraj najmniejszych nierówności społecznych i wszystko wskazuje na to, że to w tej zależności należy się dopatrywać wytłumaczenia.

Ten przykład może wydawać się zbyt drastyczny – ok. Weźmy zatem kolejny, tym razem z Polski. Badania postaw wobec ludzi odmiennych ras i kultur, przeprowadzane w kilku polskich miastach, między innymi w Białymstoku, wykazywały, że wszystko szło dobrze, widać było postęp, rosnącą tolerancję. I nagle, pod koniec ubiegłej dekady, nastąpiło jakieś „niewytłumaczalne” tąpnięcie. Jeśli jednak zestawimy te wyniki z badaniami nad polskim ubóstwem, wszystko staje się jasne. Okazuje się, że krzywe się pokrywają. Od 2006 roku zaczął systematycznie rosnąć, malejący uprzednio, wskaźnik biedy. I jednocześnie zaczął rosnąć wskaźnik ekonomicznego rozwarstwienia.

W tej chwili 7,5 proc. Polaków żyje w skrajnej biedzie – starcza im tylko na biologiczne przetrwanie. 16 proc. to wskaźnik ubóstwa relatywnego – ci ludzie z powodu biedy nie mają szans edukacyjnych, nie stać ich na leczenie, na udział w życiu społecznym, dostęp do kultury. Żyją w ciągłej niepewności jutra. Oczywiście, że się boją. Każdy z nas na ich miejscu by się bał. Czego? Także obcego.

Gdy ruszała kampania Rady Europy przeciw rasizmowi, antysemityzmowi, ksenofobii i nietolerancji pod nazwą „Wszyscy różni – wszyscy równi”, polski rząd zmienił hasło na: „Wszyscy różni – wszyscy solidarni”. Równość źle się kojarzyła. Rządzące partie konserwatywne przez lata przekonywały nas, że rozwarstwienie społeczne jest rzeczą pozytywną – a bogacenie się jednostek przełożyć się ma, „z czasem”, na poprawę poziomu życia całego społeczeństwa.

Przedsiębiorca, nawet jeśli płaci podatki za granicą, i tak jest dobroczyńcą. A jeśli nie płaci pensji – to zapewne dlatego, że polski pracownik jest zbyt roszczeniowy. Taka logika była usprawiedliwieniem dla prowadzenia „kosmetycznej” polityki społecznej, poszerza-

jącej de facto strefę ubóstwa. Dla ludzi, którzy żyją w skrajnej biedzie, wojenny uchodźca jawi się jako zagrożenie, bo dla polityków może być pretekstem do okrojenia już i tak skromnego systemu zabezpieczeń społecznych.

Statystyczny Polak przeciwny migrantom nie boi się zamachów terrorystycznych czy gwałtów, nie drży o „kato-lickie dziedzictwo”. Mieszka w małym mieście, ma niskie dochody i jest słabo wykształcony. Boi się – jak wynika z danych Centrum Badań nad Uprzedzeniami – kłopotów ze znalezieniem pracy czy bliżej nieokreślonego „ciosu dla gospodarki”. Jednocześnie w zdecydowanej większości dostrzega, że tacy przybysze to szansa na wzbogacenie kultury. Ale cóż że kultura – skoro jutro może nie być czym nakarmić dzieci. Dlatego populistyczne hasła prawicy wymierzone przeciwko obcym znajdują u niego posłuch.

Oczywiście, ważne są działania doraźne – obowiązkiem państwa jest zwalczanie wszelkich przejawów rasizmu, zwłaszcza w przestrzeni publicznej. Jako społeczeństwo nie możemy dopuszczać „tolerancji dla braku tolerancji” w imię wolności słowa. Jednocześnie jednak powinniśmy przyjrzeć się korzeniom tej polskiej ksenofobii. Nie jest tak, że Polak, zwłaszcza ten biedny i małomiasteczkowy – „wysysa ją z mlekiem matki”. Lęk przed obcymi, erupcja islamofobii, z jaką mamy do czynienia w ostatnich miesiącach, to prosta konsekwencja polityki gospodarczej i społecznej ostatnich dekad. I obawiam się, że w nastawieniu polskiego społeczeństwa nic się nie zmieni lub zmieni się niewiele, jeśli nie przejdziemy do aktywnej polityki społecznej. Takiej, która dąży do trwałego, systemowego zniwelowania nierówności społecznych.

Pprzed laty Francuzi, którzy zdają się w większym stopniu dostrzegać związek między polityką społeczną a rasizmem, przeprowadzili ciekawy eksperyment. W kilku biednych gminach, gdzie poparcie dla **Frontu Narodowego Le Pena** i jego rasistowskich haseł było najwyższe, wdrożyli specjalne, jak się okazało, bardzo skuteczne programy walki z bezrobociem. Zainwestowali też w przedsięwzięcia kulturalne i sportowe – wystarczyła jedna kadencja i wyrównanie stopy bezrobocia ze średnią krajową, by poparcie dla Le Pena spadło poniżej trzech procent, a do incydentów na tle rasowym niemal już nie dochodziło. Proszę Państwa, nie ma czegoś takiego jak rasizm wyssany z mlekiem matki. ■